



p. II - 562



P. II - 563

JEDNODNIÓWKA



AKTORA

13 — II — 1920,

Wielki wybór gotowych ubrań



damskich, męskich i uczniowskich.

RESTAURACJA

Spółki Pracowników branży restauracyjnej
dawniej Lijewski.

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 8.

<http://rcin.org.pl>

Krakowskie Przedmieście 5. tel. 102-95.

B. MYSZKOROWSKI

poleca
ostatnie modele
sukien i bluzek

M. Wrzeźniewski

Wierzbowa 3.

Posiada stale na składzie:

**Wytworną i bogatą biżuterję oraz duży
wybór kamieni nieoprawnych.**

Dachówki azbestowo-cementowe w kolorze szarym i czerwonym wymiaru 40×40 cm. (Waga metra kwadratowego około 38 funtów), pape, dachówki palone, wapno, cement, smołę, gazową i drzewną i t. p. artykuły budowlane.

Oleje mineralne do maszyn i smary techniczne, benzyne i terpentynę, pokost i t. p.

Samochody ciężarowe i osobowe, gumy do tychże i t. p.

poleca:

DOM HANDLOWY

St. Matłowski i S-ka

sp. z ogr. odp.

Warszawa, Moniuszki 2.

Tel. 6-68 (dawny) do rozmów międzymiastowych i Nr. 245-90.

Garaże: Górna № 9.

P.L-562



MAGAZYN
JUBILERSKI

WINCENTY WABIŃSKI i SKA

(b. kierownik firmy „J. WABIŃSKI“).

Gmach hot. Europejskiego wejście obok Hall'u vis a vis Komendantury W. P. tel. 186-15.

Złoto na wyroby
techniczno-dentystyczne

Własne wyroby
T. SZYMAŃSKI
Jubiler

WARSZAWA, Trębacka 10.
(Dom dochodowy teatr. M. sklep)
Telefon 255-08. Egz. od roku 1895.
Wyroby złote, srebrne
i brylantowe

Kupno i sprzedaż
złota, srebra i platyny

SPÓŁKA AKCYJNA

Sutkowski i Raszewski

Warszawa, Marszałkowska 149 róg Próznej.

Telefony: 2-40, 3-63 i 3-64.

Drożdże prasowane
Fabryki Drożdżowo-Gorzelniczej
„Henryków”

Warszawa, Elektoralna 5, tel.: 222-66 i 28-66.

<http://rcin.org.pl>

TREŚĆ „Jednodniówki“.

Od Zarządu Związku Artystów Scen Polskich.

W. Czarnowski — O nakazie wewnętrznym artysty.

I. Dygas — W sprawie przedstawień w Paryżu i Londynie.

E. Głowacki — Karykatury członków Zarządu Głównego Z. A. S. P. (rysunki)

W. J. — O teatr polski w Cieszyńskim.

S. Kiedrzyński. — Urywek z rozmowy.

T. Kończyc. — 1) Po co chcesz orłem.. 2) Sonet.

J. Kotarbiński. — Ze wspomnień o wielkim aktorze.

Radosław Krajewski — Teatr Narodowy.

S. Norblin. — Pierot i Kolombina (rysunek)

W. Porebski. — „Towarzystwo Teatralne“.

I. R. — Recenzenci teatralni.

L. Schiller. — Z wirydarza klasycznego.

A. Słonimski. — „Adamita w teatrze“.

S. Stanisławski. — O papierosach amerykańskich...

K. Tom. — Rondo z Cyklu: „Perły Pierota“.

„ „Fra — Zoile“.

Z. Telatycki. — „Jakże podle jest, przepodle...“

J. Tuwim. — * * *

A. Włast. — Aktorka.

K. Wroczyński. — Zdobywcy (sonety).

A. Zelwerowicz. — „Heca i hecarze“.

St. Żeromski. — „Ponad śnieg“, dramat (urywek z aktu III).

„Scena Polska“.

Miesięcznik — wydawnictwo Związku Artystów Scen Polskich w Warszawie.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Aleje Jerozolimskie 53 m. 1^A.**

Adres telegr.: **Warszawa ZASP.** Telefon: **10-66.**

WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna	Mk. 40	Kor. 60
„ półroczna	„ 20	„ 30
„ kwartalna	„ 10	„ 15
Zeszyt pojedynczy	„ 4	„ 6

Zwrot rękopisów za nadesłaniem odpowiednich znaczków pocztowych.

Autorów i wydawców uprasza się o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych, redakcję czasopism o zeszyty zamienne, <http://www.zasp.org.pl>

JEDNODNIÓWKA



AKTORA

13 — 11 — 1920,

Od wydawnictwa.

Związek Artystów Scen Polskich urządza po raz pierwszy w Polsce „Dzień Aktora”. Na wielkie cele SZTUKI POLSKIEJ, jakieśmy sobie założyli, gromadzimy fundusze. Jednem ze źródeł ma być „Jednodniówka”. Trudności techniczne uniemożliwiły wydanie czegoś większego, pomimo że materiału łaskawie nadesłano nam o wiele więcej. Szanownych Autorów, których utwory zmuszeni byliśmy zostawić w rękopisie, najmocniej niniejszem przepraszamy, wszystkim zaś za tak uprzejmą gotowość przyczynienia się do powodzenia „Jednodniówki” serdeczne składamy dzięki.

Zarząd Główny

Związku Artystów Scen Polskich.

O nakazie wewnętrznym artysty.

Tak nieodzowne, jeśli chodzi o jaśniejszą przyszłość teatru polskiego, doskonalenie kunsztu aktorskiego poprzedzić musi wpojenie w artystów scen naszych pewnika, że praca ich wówczas dopiero stanie się twórczą i płodną, kiedy będzie skromną i gorliwą.

Mówimy: skromną, gdyż w najpotężniejszej nawet działalności społecznej czy politycznej, naukowej czy artystycznej, nie widzimy żadnych uzasadnionych przesłanek niezdrowej ambicji i pozornie uprawnionego pożądanego zaszczytów, tak często wyciskającego swe fatalne piętno na pracy i czynach tylu wybitnych jednostek, a mszczącego się konsekwentnie na rezultatach wysiłków zbiorowych. Ludzi z talentem twórczym ten właśnie żywioł zniewala do tworzenia: za posiadanie takiego skarbu wdzięczni chyba tylko powinni być gromadzie, która ich wydała, zamiast wynosić się ponad nią w manierach pawia lub zgoła nią pomiatać.

Od szczęśliwca z talentem wymagamy gorliwego służenia swemu powołaniu, albowiem pracę artysty uważamy nie za łaskawie a wspaniałomyślnie robiony ogółowi prezent, lecz za prosty obowiązek społeczny, zasługujący na tyleż uznania ze strony ogółu, co wszelka zbożna praca rolnika, rzemieślnika lub uczonego.

J. DYGAS.

W sprawie przedstawień w Paryżu i Londynie.

Byłe Państwo Rosyjskie w czasie rozkwitu swej potęgi przy przeprowadzaniu wszelkiego rodzaju operacji finansowych i dyplomatycznych posiłkowało się szeroko propagandą sztuki rodzimej, urządzającą na obczyźnie wystawy i tournée przedstawień teatralnych dla wzbudzenia zainteresowania zagranicy, dla zbudzenia sympatii do narodowości rosyjskiej

Djagielew — ten król baletu — otrzymał od rządu specjalne na ten cel kredyty, gdyż władze caratu zdawały sobie wyśmienicie sprawę z korzyści tej imprezy.

Artysta, oddający się swemu zawodowi niedość gorliwie i poważnie, staje się pasorzytem społecznym i jako taki wart jest raczej potępienia w oczach opinii publicznej, aniżeli spotykanego najczęściej tolerowania jego pasorzytstwa lub zgoła uprzywilejowania w opinii bezkrytycznych mas.

Rzecz prosta, że obok poważnego i bezinteresownego stosunku do sztuki artysta wymaga czegoś więcej, mianowicie t. zw. talentu, czyli wrodzonej zdolności twórczej, oraz każdego rodzaju pracy obowiązującej umiejętności wytwarzania, a więc biegłości technicznej, którą zwykliśmy uważać za możliwą do nabycia jako rezultat dłuższych lub krótszych studjów i praktyki. Cokolwiek możnaby powiedzieć na temat istoty talentu twórczego, wątpliwości nie ulega, że kto nie posiadał biegłości technicznej, ten o właściwym artyzmie nigdy nie będzie mógł marzyć.

„Zanim pokusisz się być mistrzem, umiej wprzód być technikiem” — wpał w nas J. Kremer. Zasada ta dotyczy oczywiście i artystów sceny z aktorami na czele. Niechaj czynią jej uczciwie zadość, a dojdą — opierając się na wyżej wspomnianym nakazie wewnętrznym — do wyników, które trwale zabezpieczą losy polskiej twórczości scenicznej.

Obecnie i pomniejsze narody zrozumiały celowość podobnej propagandy. Czesi nie bacząc na ciężkie warunki komunikacyjne etc., natychmiast po skończonej wojnie pospieszili do Paryża i Londynu z szeregiem koncertów z udziałem swych pierwszorzędnych artystów oraz praskiego chóru Filharmonji.

Polska rozporządza pierwszorzędnym materiałem, rozproszonym po całym świecie. Należy te siły skoncentrować i zawieźć do wymienionych stolic. Niech sukces niewątpliwy będzie nie tylko osobistym, lecz narodowym

artystycznym zwycięstwem. Cykl przedstawień w Paryżu i Londynie bezwątpienia usposobi najprzychylniej opinię społeczeństw entente'y.

O ileż łatwiej będzie pracować wtedy i naszej dyplomacji!

Przedstawienia i koncerty należy urzą-

dzić jeszcze w tym roku, a to w celu uniknięcia konkurencji innych narodowości.

Program artystycznej działalności niech ułoży specjalnie zwołana Komisja Ministerjum Sztuki i Kultury.

Byle zaraz przystąpić do pracy, byle prędzej.

O teatr polski w Cieszyńskim.

(urywek z korespondencji)

...Zwracam uwagę sfer miarodajnych na sprawę wielkiej wagi.

Na Śląsku Cieszyńskim są wszelkie warunki do powstania teatru stałego. Trudności nie są tak wielkie, by nie można ich usunąć już w ciągu istnienia obecnego teatru.

„Macierz Szkolna“ zabiera się do budowy „kina“. Rada Narodowa przyznała milion marek subwencji na budowę muzeum w Cieszynie. Nie przypuszcza nikt chyba, by Rada Narodowa nie poparła finansowo równie wydatnie budowy pierwszego teatru polskiego na Śląsku Cieszyńskim. Wszak polski Śląsk nie będzie mógł długo ścierpieć tej anomalii, by w Cieszynie i Bielsku

istniały teatry niemieckie, uczęszczane licznie także przez publiczność polską, a ludność polska miała być zdana jedynie na „na kółka amatorskie“, mające wprawdzie dużą zasługę, ale nie mogące zastąpić teatru fachowego.

Polacy na Śląsku muszą się zdobyć w krótkim czasie bodaj na jeden teatr stały i wierzę, że Śląsk Cieszyński będzie nasz a jednym z pierwszych symbolów odrodzenia politycznego i kulturalnego u nas będzie gmach teatru polskiego w Cieszynie, a może także w Karwinie (teatr robotniczy) i w Bielsku.

W. J.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

Urywek z rozmowy.

— Kochany panie. Mam wprawdzie lat dopiero dwadzieścia pięć, ale już cztery pełne sezony jestem na scenie i mogę twierdzić, iż znam się na teatrze. Otóż teatr w Polsce wymaga zreformowania. Reforma teatru *polskiego*, u nas (takie określenie jest konieczne, prawdopodobnie dlatego aby nie myślano, że mowa o teatrze japońskim) wymaga przede wszystkim znawstwa przedmiotu. Otóż nie można naprzykład pozwolić, aby sufler dał się w swojej budzie, jakgdyby go zęby bolały. Publiczność często zamiast jednego głosu aktora, słyszy dwa głosy, powtarzające jedną kwestję pięć razy.

— To prawda. Ale czyż nie jest to wina artystów, którzy nie zawsze umieją swoje role na pamięć?

— Nic podobnego. Aktor dopóki wie, że, na premierze będzie miał w budzie suflera nigdy się dobrze roli nie nauczy. Chcąc przystąpić do reformy teatru polskiego, należy przede wszystkim zerwać z tradycją budek suflerskich. Wszakże u Stanisławskiego w Moskwie budy suflera niema.

— Tam podobno uczą się dobrze ról i nie wymagają poddawania „pierwszych kwestji“.

— Naturalnie, bo skoro niema budy suflera, to skądże mogą być poddawane „pierwsze kwestje“? Tak samo należy odświeżyć, odrodzić stosunki panujące w wewnętrznym życiu artystów. Nie chcą oczerniać moich kolegów, ale bywają wypadki, że podczas, gdy na scenie rozgrywają się natchnione sy-

tuacje z „Wesela” lub „Wyzwolenia”—artyści w garderobach grywają w domino, lub sprzeczą się o jakieś głupstwa: o piwo w najbliższym barze, o konie na wyścigach, lub kobiety.

Niech mi pan wierzy, że w przyszłym zreformowanym teatrze polskim nic podobnego miejsca mieć nie będzie.

— Zabroni pan wyrabiać domina?

— Ach, pan żartuje. Stworzymy taką atmosferę za kulisami, że artyści będą rozmar-

skutku. Gdyby myślenie o kobietach było tylko przyzwyczajeniem, miałby pan bardzo wiele pracy, aby to przyzwyczajenie z natury ludzkiej wykorzenił.

— No, proszę pana. Nie odrazu Kraków zbudowano.

— Zapewne. Zważywszy jednak jak małą popularność wywalczyły sobie znakomite rady Szekspira, niepodobna zbyt optymistycznie zapatrywać się na projekty pańskich reform.

— Jakie rady, jeżeli można wiedzieć?

— Te, które daje aktorom przez usta Hamleta.

— Niestety, nie znam Hamleta.

— Mogę panu zacytować niektóre ustępy z pamięci.

— Owszem, proszę pana.

— W scenie drugiej aktu trzeciego Hamlet, rozmawiając z aktorami, mówi do jednego z nich: „Proszę cię, wyrecytuj ten kawałek tak, jak ja ci go przepowiedziałem, gładko bez wysilenia; ale jeżeli masz wrzeszczeć, tak jak to czynią niektórzy nasi aktorowie, to niech lepiej moje wiersze deklamuje miejski pacholek. Nie siecz też za bardzo ręką powietrza, bądź raczej ruchów swoich panem: wśród największego bowiem potoku i, że tak powiem, wiru namiętności, trzeba ci zachować umiarkowanie, zdolne nadać wewnętrznej twojej burzy pozór spokoju. Nie posiadam się z oburzenia, słysząc, jak siaki taki barczysty gbur w peruce w gałgany obraca uczucie, prawdziwy z niego łach robi, by zadowolnić uszy narodka, który po największej części kocha się tylko w niezrozumiałych gestach i wrzawie. Oćwiczycybym rad kazał takiego chama, żeby się lepiej hamował. Proszę cię chronić się tego”.

A później: „Nie bądź też z drugiej strony za miękki; niech własna twoja rozważa przewodnikiem ci będzie. Zastosuj akcję do słów, a słowa do akcji, mając przedewszystkiem to na względzie, abyś nie przekroczył granic natury; wszystko bowiem, co przesadzone, przeciwnie jest zamiarom teatru, którego przeznaczeniem, jak dawniej tak i teraz, było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piękno.

A później: „Tym zaś, co u was grają błaznów, zakażcie jak najsurowiej prawić co bądź więcej nad to, co stoi w ich roli: są bowiem między nimi tacy, co się namawiają do śmiechu, aby w pewnej liczbie jałowych spektaktorów także śmiech wzbudzić i to właśnie

E. Głowacki.



ALEKSANDER ZELWEROWICZ.
(przewodniczący Z. G. ZASP.),

wiali tylko o rzeczach wzniosłych, a przede-wszystkiem o sztuce.

— Przypuszczalnie jednak artyści i wów czas będą pili piwo, chodzili na wyścigi, no i kochali się, co przecież w pewnym wieku jest plus fort que nous.

— To prawda, ale w tej atmosferze, w której się będzie rozwijał teatr zreformowany, nikt nie będzie myślał o kobietach.

— Spodziewam się, że jeżeli to będzie jednym z warunków rozwoju sztuki dramatycznej, reforma teatru nigdy nie dojdzie do

w chwili, kiedy przypada jaki szczegół sztuki zasługujący na uwagę”.

— Te uwagi istotnie są bardzo trafne.

— Jeżeli jednak głęboko wniknie pan w ich bogatą treść i uprzytomni sobie, iż pisane były prawdopodobnie około roku 1580

— zrozumie pan wówczas jak mało uczyniono jeszcze, aby ten elementarz stał się katechizmem.

A przecież warto się go nauczyć na pamięć—choćby na jeden dzień przed rozpoczęciem reformy.

TADEUSZ KOŃCZYC

Po co chcesz orłem...

Po co chcesz orłem przez ten świat przelecieć?

Czy, aby upaść z skrzydły złamanemi?

Niema zórz, coby wiecznie mogły świecić

I niema miejsca dla orłów na ziemi...

W dusz popieliskach — płomień wartoż niecić?

Zaledwie błyski rozelśni jasnemi

Mrok go zadławi skrzydłami czarnemi,

Pośród wron — orłu gniazd nie wolno klecić...

Co szare — w szarość niech zapada cichą

Mgieł, co osnuły serca małych ludzi —

Któż gromem śpiące stada owiec budzi?

Jest but pastucha na czeredę lichą...

Orłom — gór szczyty dano na siedlisko,

Wrony nad ziemią muszą krakać nisko.

Sonet.

*Kto w jasne słońca blaski nie wpatrzył się wzrokiem,
Komu dzień nic, krom troski bolesnej, nie niesie —
Kto błądzi bez nadziei w tajemniczym lesie
Zyciowych żądz, w milczeniu rozpaczy głębokiem —
Komu nic złotolita szczęścia codzień rwie się,
Kto noc jedynie kocha, oswojony z mrokiem —
Niech nie przeraża innych nędzy swej widokiem,
Niech od życia biesiady precz swój ból uniesie...
Tym, co walczyć chcą, innych widowisk potrzeba:
Im wiecznie muszą świecić nadziei latarnie —
Im ukazywać trzeba jasny błękit nieba! —
Niech ginie, komu życie szło krzywo i marnie
Komu tu braknie słońca, wesela i chleba —
Nim serca inne własnem zwątpieniem ogarnie...*

E. Głowacki.

E. Głowacki.



JULJUSZ OSTERWA.
(Zast. Przew. Z. G. ZASP.).



PAWEŁ OWERŁŁO.
(Skarbnik Z. G. ZASP.).

Ze wspomnień o wielkim aktorze.

Żółkowski zwykle ubierał się na scenę w dawnej garderobie „na górce pod czter-nastką” dziś już nieistniejącej w Teatrze Rozmaitości. Lubił, gdy koło niego prowadzono rozmowę, do której czasem dorzucał jakieś słowo, lub żart przelotny.

Zapytałem, czy mu nie przeszkadzają gwary i gawędy kolegów.

— Wcale nie, mój kochany,— ja czytam zwykle rolę dwadzieścia siedem razy i odkładam na bok i już do niej nie zaglądam!

E. Głowacki.



JADWIGA TUROWICZÓWNA
(Sekretarz Z. G. ZASP.).

Natura wysiliła się, aby w nim stworzyć wielkiego artystę. Sztuki, w których grał, miały wielkie powodzenie. Przed trzydziestu paru laty reżyser miał łatwe zadanie, gdy trzeba było pamiętać o dochodach kasowych. Wznawiał z Żółkowskim „Jowialskiego”, „Wielkiego człowieka”, „Przyjaciół” lub „Drzemkę pana Prospera” i miał zapewnionych czterdzieści spektakli lub więcej!

W ostatnich latach swego zawodu niechętnie przyjmował Żółkowski nowe role. Gdy go namawiał do odtworzenia tytułowej postaci w jednej ze sztuk oryginalnych, premjowanych na konkursie, odrzekł mi krótko:

— Kiedy ja go *nie widzę*, mój kochany!

I miał rację, bo ulotna figura, dobra w zasadniczym pomysle, w szczegółach była niejasną i poplątaną w rysunku.

To powiedzenie charakteryzuje jedną z właściwości prawdziwie twórczego artysty. Żeby dobrze grać rolę, aktor dobry lub znakomity musi w duszy stworzyć sobie wyraźną *wizję* postaci, której na scenie ma dać duszę, krew i ciało.

Żółkowski upajał się oklaskami jak stare dziecko. Miał dumne przekonanie o swej artystycznej mocy. Pewnego razu w „Majstrze i Czeladniku” po zejściu ze sceny artysty wśród oklasków ryknął jakiś widz niezadowolony z tego, że aplauzy przerywały bieg sztuki. Żółkowski wypadł na scenę z dumnie podniesioną głową i zawołał:

— A to co?

I cały teatr huknął siarczyste brawa!

W roku 1877 po dwukrotnem odegraniu roli Ferdynanda w tragedji Szyllera „Intryga i Miłość” zostałem przyjęty do trupy Teatru Rozmaitości z pensją 600 rb. rocznie i dodatkiem rubla od występu. Wchodzę do garderoby „pod czternastką” — a koledzy pytają mnie, kto będzie grał rolę Ferdynanda w przyszłym przedstawieniu „Intrygi i Miłości”.

— Ja będę grał — odpowiedziałem — gdyż Leszczyński jest tak dobry, że mi ja odstąpił!

— Czy przez intrygę, czy przez miłość? — odzywa się z uśmiechem Żółkowski.

Lubił czasem artysta gawędzić przed widowiskiem i podczas anaktów. Ale gdy miał rozpocząć rolę, dawał znak, żeby mu nie przeszkadzano. I żegnał się za kulisami przed wyjściem na scenę, jak przed pacierzem.

To samo czynił zawsze Królikowski.

Dla wielkich artystów tego pokolenia sztuka była — nabożeństwem!

Teatr Narodowy.

Mieczysławowi Limanowskiemu.

Ja, ty, on, cały naród laszy,
czasem przeżywa takie dziwne wstrząsy,
że miasto pić słońce z pełnej czaszy,
czyni przed sobą dąsy, przekąsy,
sam siebie się straszy.

Czasami pogodne niebo duszy laszej
zawłoką koszmary, płazy,
obrzazgłe, kaprawe morsy,
że ręce i nogi z odrazy
zwijają się w torsy,
że ze wszystkich wnek
idzie nek
szary,
ludzie się mienią w zamary
i w długich, szeptanych dialogach,
z owemi koszmary
kozubieją.

Daremnie te koszmary
stara się naród spędzić z nieba,
daremnie zakłęcie rzuca wzwyż,
daremnie ręką znaczy krzyż
i pogańskie: kysz a kysz —
nie przepędzi ich chmary.

Przesłoniły słońce:

Światowita i Darzboga. ¹⁾
Przed narodem dróg tysiące,
kędycz jest narodu droga?

Wtedy kapłani narodowych świętości
winni swe kości
odziać nowem ciałem
i wtedy odprawiać trzeba
w narodowej Kontynie wielkie nabożeństwa,
iżby nastąpiło oczyszczenie nieba.

Wtedy to ja, dramaturg,
zapraszam te wszystkie koszmary

z lekkich nieb
do mej piersi wgląb, w gościnę.
Przypadł wam radosny żręb, ²⁾
życiem żywych żyć będziecie,
w ciała się przyobleczecie,
w najpyszniejsze stroje, zbroje,
w pozy, grozy, w nieukoje,
w sezamy moje.
I chodzą koszmary sine —
cudacki amalgamat
do wnętrni mojej kazamat
i wtedy
tak najzwyczajniej, jak dom, kontynę,
buduję narodowy dramat.

Łożę tedy podwalinę,
pion jej utwierdzam murem ³⁾
piętrzę nad sobą akty-łady,
w strop zwiążuję je pazdurem, ⁴⁾
Osoby-belki żłobię,
w charakterów różnych larwy,
w uczuć harmonizowane barwy,
i wiążą je między sobą
w typy wiązań mnogie:
na zastrzał, na podwój, na rac, ⁵⁾
w wiązania pionowe i połogie.
Nie więcej wolno mi z ziemi
tego budulcu brać,
i nie mniej:
tyle,
by pomysł wyłuskwić do cna,
by była celowa budowa
i mocna.
Wtedy ty, widowni dyktator,
reżyser — inscenizator,
przedzieraszą się przez zator
wzorów

¹⁾ bogowie słoneczni, których czcili nasi przodkowie pogańscy.

²⁾ los.

³⁾ ładami lub sprawami w dawnej Polsce nazywano to, co nosi dziś miano aktu w dramacie.

⁴⁾ nazwa architektonicznego zakończenia dachu w budownictwie wiejskiem.

⁵⁾ rodzaje spajania ze sobą belek w budownictwie.

po własną o dramacie moim wizję
i dywizję
dekoratorów, aktorów
zbrylasz w harmonije sporów,
w kolizje
tak, by w przepychu siły
ucieleśniły
twoją o moim dramacie wizję.

I wtedy on, aktor,
będący widowni panem,
daje pole najszersze sytuacji,
słowem i gestem w stylowej karnacji,
harmoniją pauz i gradacji
wali we widza, jak taranem,
do współtworzenia go zmusza, wprzęga.

Widz — naród współtworzy:
sroży, mnoży się złudy potęga
w skrzydlisk tysiące i rozroźw
w skurczach, w rozparach, we skrach.
Ja, ty, on, cały naród
budujemy złudy gmach,
bo wszystkie z nieba zeszyły koszmary,
bo strasznie dziwne są ich maskary
i pęd ich i pancerny płach.¹⁾

A gdyśmy się nacieszyli budową tej złudy,
w radości łzach

burzymy gmach.

Trrrach!

Ha, ha, haaa...

Walą się sklepień łuki,
ponurych turm wygary.

Giną wełmiście,
we skwirze, we świście,
w zapadających się rumowisk stosach
koszmary

Ha, ha, haaa...

.....
Niech o walki losach
powiada nieśmiertelność w poległych
[herosach.

I znowu uroda-pogoda
na duszy narodowej niebie.
Słońce światowitowo-laszo-darzboże,
nasz wieczny drub
się kolebie
na przestworze.
Na ostatnie, z koszmarowych pluch²⁾
tęcza przymierza z życiem gorze.

Co to było?

Twórców tańce pogańsko-boże,
nabożeństwo w narodowym soborze.
Z koszmarów oczyścił się duch.

WACŁAW KRZYMUSKI.

Towarzystwo teatralne.

Lwią część zachodów około kultu Sztuki w Polsce brali dotąd na swe barki twórcy i organizatorowie indywidualni, a więc poszczególni artyści, pedagodzy, właściciele „Salonów”, dyrektorzy teatrów — oraz zrzeszenia, takie jak Warszawskie T-wo Zachęty Sztuk Pięknych, kilka Towarzystw przyjaciół Teatru na prowincji, Kluby Artystyczne i t. p.

Dopiero w ostatnich czasach powstały Związki plastyków i aktorów, które usiłują sprostać tak licznym zagadnieniom racjonalnej opieki nad Sztuką w odradzającej się Polsce.

Czy jednakże podołają temu olbrzymiemu zadaniu? I czy wogóle wskazaniem jest, aby realizacja wielkich zamierzeń spoczywała wyłącznie w rękach artystów? Czy samo społeczeństwo nie mogłoby tu dorzucić ani jednej cegiełki?

Sądzę, że tak.

Świta mi myśl powołania do życia Towarzystwa Teatralnego, będącego czemś w rodzaju ośrodka mózgowego w polskim organizmie artystycznym. W sferze inicjatywy wyrażałoby ono niejednokrotnie nasze Minister-

¹⁾ płach blacha zbroi średniowiecznej.

²⁾ plucha w gwarze ludowej znaczy to samo co słotna chmura.

stwo czy Urząd Sztuki, ogarniając w realizacji następujące zadania:

pracę nad rozwojem ideologii teatru w Polsce;

propagandę nowoczesnej organizacji i kierownictwa teatrów;

współdziałanie w zdobywaniu kanwy literackiej dla scen polskich;

powołanie do życia rzetelnej krytyki teatralnej;

organizację racjonalnie pomyślanej sieci teatrów w kraju — wreszcie

wspieranie literatury fachowej oraz wydawnictw, mających bliski związek z twórczością sceniczną.

Członkami Towarzystwa mogą i powinni być obok artystów teatru w ścisłym tego słowa znaczeniu również przedsiębiorcy teatralni, autorzy, krytycy, przedstawiciele państwowych i komunalnych komisji artystycznych,

reprezentanci zrzeszeń, służących sztuce i kulturze, i t. p. — słowem Towarzystwo powinno jednoczyć wszelkie żywioły, z tych czy innych względów w rozwoju sztuki teatralnej zainteresowane.

Pożądanym byłoby stworzenie centrali Towarzystwa w Warszawie oraz jego oddziałów wszędzie, gdzie się tylko da, na prowincji.

Co do kolei, w jakiej miałyby być podejmowane poszczególne zadania teatralne w stolicy czy poza nią, decydowałyby właśnie owe oddziały lokalne, opierając się na stopniu pilności potrzeb i możliwości uczynienia im zadość.

Towarzystwo musiałoby posiadać swój organ, ściśle zespalaający wszystkie prace i usiłowania korporacji i jej oddziałów.

Czy nie wartoby zakrzętnąć się około zorganizowania „Polskiego Towarzystwa Teatralnego?”

J. R. R.

Recenzenci teatralni.

(Z rosyjskiego).

Kilka rysów charakterystycznych, po których człowiek, nawet w obcym mieście, może odróżnić spośród publiczności, zapewniającej teatr recenzenta:

a) Recenzent przychodzi na widowisko w połowie aktu pierwszego — i wychodzi w połowie trzeciego.

b) Jeżeli wszyscy są we frakach, to recenzent w tużurku; kiedy wszyscy w tużurkach — recenzent w marynarce; jeśli wszyscy w marynarkach, to recenzent... we fraku.

c) Obserwując widowisko, recenzent zatapia wzrok w końce swych butów.

d) W czasie pauz recenzent pali papierosa, którymi częstują go aktorzy, i krytykuje widowisko, autora i aktorów, wymyślając dramaturgom i dramatom wogóle.

e) Recenzent dramatyczny nie zna się zupełnie na muzyce, a muzyczny na dramacie.

Idealny recenzent winien czynić zadość następującym wymaganiom:

a) Nie powinien znać osobiście ani jednego aktora, ani jednej aktorki, ani jednego reżysera, ani jednego dramaturga i ani jednego malarza dekoratora.

b) Idąc do teatru, winien przedtem przeczytać dokładnie dany utwór.

c) Podczas pauz winien siedzieć na swoim miejscu, aby rozmowy prowadzone w bufecie lub foyer, nie miały wpływu na jego sąd o widowisku.

d) Po skończonym przedstawieniu winien jechać do domu, aby w restauracji lub klubie nie rozwiać bezpośredniego, świeżego wrażenia z widowiska.

e) Pisząc, powinien wszystko motywować: jeżeli naprzykład napisze, że aktor Iks dał błąd postaci, to powinien dowieść, dlaczego właściwie postać aktora Iksa była błędna i jak aktor Iks winien grać daną postać, aby była żywa i interesująca.

Jeden z recenzentów, aby nie mieć wrogów postanowił chwalić wszystkich.

— Zetowska genialna! napisał we wtorek.

— Igrekowska — wielki talent! napisał w środę.

W czwartek Zetowska i Igrekowska wyskubały mu czuprynę.

— Jakież dla mnie może mieć znaczenie

nie pańska krytyka, — krzyczała Zetowska, jeżeli pan stawia mnie narówni z Igrekowską! Jesteś pan cymbał!

— Co?! Zetowska genialna, — wrzeszczy Igrekowska, — a ja tylko wielki talent? Cymbał!

Recenzent zwarjował i zaczął pisywać sprawozdania z wyścigów.

Inny recenzent, śmiałek, postanowił niktogo nie oszczędzać i wszystkim wymyślać.

— Iks jest bałwan! napisał w poniedziałek.

— Zet jest tuman! napisał we wtorek.

W środę Iks i Zet ściskali go za ręce.

— Podoba mi się pańskie zdanie o Zecie, mówi mu Iks. Zet coprawda jest moim przyjacielem, ale zauważył pan zupełnie słusznie, że to formalny bałwan.

— Jestem zachwycony pańskim zdaniem o Iksie, mówi mu Zet. Dawno mu się to już należało. Zupełnie trafnie pan zauważył: to rzeczywiście tuman.

Recenzent oszalał i zaczął pisywać sprawozdania z sejmu.

W pewnej stolicy zdarzył się nadzwyczajny wypadek. Pewnego pięknego poranku aktorzy tego miasta, nienawidzący swoich recenzentów, wypowiedzieli im „świętą wojnę.”

Bandy aktorów, rozsypane po mieście, wyłowiły wszystkich recenzentów, związały ich i przywiozły na przystań, skąd barkami odwieziono ich na odludną wyspę, na której nie było nietylko teatru, ale nawet kinematografu. Wysadzono ich na brzeg i, zostawiwszy dostateczną ilość żywności (chleba kartkowego, papieru i atramentu), rzucono nieszczęsnych na los opatrności.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni aktorzy, znalazłszy się bez recenzentów, żyli cudownie; lecz na początku trzeciego tygodnia jeden ze znakomitych aktorów powiesił się, zostawiając tajemniczą notatkę:

„Nudno żyć, jeżeli nie ma ci kto wróżyć...”

W operetce aktorzy przestali uczyć się ról. Dyrekcja zmuszona była rozszerzyć budkę suflera i posadzić tam jeszcze jedną ofiarę „rutynowanych artystów”.

Znana aktorka, przywdziewszy domino i maskę, przyszła do redaktora dziennika stołecznego i wręczyła mu woniejący bilecik: „Niech pan napisze o mnie choć kilka słów. Nie mogę żyć, nie widząc w prasie swego nazwiska. Usycham! Umieram!! Marja Gęgalska.”

Inna „gwiazda” odłożyła swój benefis.

„Poco mi benefis, — mówiła ze łzami. — Dostanę z niego kilkaset rubli, a recenzji nie będzie żadnej”.

W początkach czwartego tygodnia stary „firmowy” aktor wybrał się nocą łódką motorową na wyspę recenzentów i zostawił na brzegu koszyczek z butelkami i swój bilet wizytowy.

W połowie czwartego tygodnia posłaniec z miasta dostarczył na wyspę kosz szampana, owoce i trzy tuziny ciepłych kołder z bilecikiem:

„Recenzentom od nieznannej. Marja z Gądalskich Gęgalska”.

W piątym tygodniu cały zespół teatru wyjechał nocą na wyspę recenzentów. Na brzegu paliło się ognisko. Recenzenci siedzieli otuleni w kołdry, dostarczone im przez „nieznaną”, piekli kaczki, jedli zakąski i popijali szampańskim. Znana baletnica tańczyła w blaskach ogniska. Słynny tenor rozwijał nuty, przygotowując się do śpiewu. Pod świerkiem, przeglądając się w przymocowanym do drzewa lustrze, charakteryzowała się pierwsza bohaterka.

Przy końcu szóstego tygodnia recenzenci tryumfalnie wjechali do stolicy. Aktorki i aktorzy rzucali im pod nogi swą garderobę. Wisielec — ten z trzeciego tygodnia — dnia tego zmartychwał.

KONRAD TOM.

Rondo z Cyklu „Perty Pierota“.

Kto mi tu kazał przyjść —
[i poco?

W tym zgiełku bladą świe-
[cić twarzą?

Światła tysiące wkrąg się
[jarzą,

Muzyka, gwar...

W kawiarni nocą
ja — Pierot z tą hulastrą
[wrażą...

Kto mi tu kazał przyjść
[i po co?

Ach, tak! To przecie Co-
[lombina,
Szatanek z liczkami dziec-
[ka gładkiem,

Z pod lustra zerka tu ukradkiem

W przerwach karesów Arlekina...

Tedy mi każe abym świadkiem?...
Ach, tak! To przecie Colombina!...

Pierocie! Długoż tego jeszcze?

Smutek?—Per Bacco! Niechaj ginie!

Jest wino,—więc go utop w winie!

Pijmy! Mydlarze, kpy i wieszczel!

Głupstwo! Nie w jednej świat dziew-

[czynie!

Pierocie —długoż tego jeszcze?

S. Norblin.



Oto powracam znów o świcie

Smutny i bledszy od poranka,

Klękam przed domem, gdzie kochanka

Spi — i jej drobnych stóp odbicie

całuję w śniegu...

Życie, życie!

Bądź pozdrowione! Jesteś piękne!

Jutro—jak dzisiaj... znów przyklękne,

gdy będę wracał sam o świcie..,

Z wirydarza klasycznego.

Piotr de Ronsard

(1524—1585).

DO HELENY.

Kiedyś, jako staruszka, schylona nad krosny
Lub wieczorem, przy świeczce, ciągnąc nić z wrzeciona,
Powiesz, moje śpiewając rymy, zachwycona:
Tako Ronsard mię sławił czasu mojej wiosny.

Wówczas nawet, po pracy śpiąca nelitosnej,
Najlichsza z pośród twoich służebniczek grona
Ustanie, mojem imieniem ze snu przebudzona,
Na cześć twą, Nieśmiertelna, nucić hymn radosny.

Ja w kraj cieniów odleczę i duch, ciała zbywszy,
W mirtowym pocznę gaju wieść żywot szczęśliwszy;
Ty grać członki skostniałe będziesz przy kominie,

Żalując mej miłości i swej dumy srogiej.
Żyj jutra nie czekając, prze niebieskie bogi!
Rwij, nim chłody go zwarzą, kwiat uciechy ninie.

Joachim du Bellay.

(1524—1560)

TEŚKNOTA

Szczęśliwy,^f kto, jak Odys lub wełny bogatej
Sławien witeż, ziemicy wszystkiej przebył drogi,
A potem, zgromadziwszy skarby wiedzy mnogiej,
Wraca cieszyć się doma spokojnymi laty.

Niestety! kiedyż ujrę znowu kurne chaty
I kiedy tułacz stanę strudzony przed progi
Strzecho krytej lepianki mych ojców ubogiej,
Co za państwo mi stoi i zamorskie światy.

Lepsza żyć pobok swoich, acz w zagrodzie lichej,
Niż napawać się krymskich pałaców przepychy,
Niżli bladość marmurów miłsze cegły nasze,

Droższa Luara galijska niż Tyber taciński,
Skromny Lyre od góry miłszy palatyńskiej,
Słodsze nasze zefiry niżli boreasze.

Filip Desportes
(1545—1606)

IKAR

Owo Ikar tu poległ, młody junak, śmiało,
Który w niebo się ważył wzbić swój lot szalony,
Jego zewłok tu upadł pierza pozbawiony
Budzą zazdrość walecznych swym losem niemałą.

O trzykroć szczęśny trudzie duszy zdobnej chwałą,
Co czerpasz z małej szkody zysk niepoliczony!
Trzykroć szczęśna niedolo, zwycięskimi plony
Darząca tych, co z boju nie uchodzą cało.

Nowe drogi młodości jego nie zdziwiły,
W tej przygodzie nie ducha brakło mu lecz siły:
Opalił ją promieńmi gwiazdy najpiękniejszej.

Zginął męstwa próbując w niepowszednim czynie,
Bieżał k'niebu—pogrzebion w morskiej legł głębinie:
Jest-li zamiar od tego albo grób świetniejszy?

Przełożył: *Leon Schildenfeld - Schiller.*

O papierosach amerykańskich i...

Powiedz mi, co palisz,
a powiem ci, kim jesteś.
Konfucjusz.

Jeżeliś nigdy, miły kolego, abstynujący od tytoniu, zszedłszy ze sceny po długim, nużącym akcie, nie zaciągnął się dymem papierosa — pozbawiłeś się nieopatrznie jednej z największych rozkoszy!

Naprzekór strażakom całego świata bronić będą prawa palenia w teatrze, w garderobie oczywiście. Palenie za kulisami i w korytarzach, zważywszy obfitość składek, płynących na odbudowę „Rozmai-

E. Głowacki.



JÓZEF MUNCLINGER ADAM
(Członek Z. G. ZASP.)

tości“ — (ponoś już wpłynęło 11 tysięcy) — powinno i nadal być surowo wzbronionem. Sami winniśmy przestrzegać tego przepisu, idąc wzorem niżej podpisanego, który za kulisami teatru w Częstochowie nie zaważał się wyrwać zapalonego papierosa z ust strażaka, pełniącego służbę i utopić go (papierosa, pełniącego służbę i utopić go (papierosa, w wiaderku napełnionem do połowy cuchnącą wodą, która wraz

z zepsutym „Minimaksem“ miała w razie nieszczęścia uratować od zagłady gmach, poświęcony narodowej sztuce. Ale odbiegłem od tematu...

Praktyczni Amerykanie w przewidującej trosce o zachowanie sił żywotnych swoich obywateli dla dobra ojczyzny (w myśl zasady Monroe'go — „Amerykanie dla Amerykanek“) zaopatrywali żołnierzy, wysyłanych do Europy, w papierosy z domieszką opium, czyniąc ich tym sposobem odpornymi na wdzięki obywaterek zarówno mocarstw zaprzyjaźnionych, jak też nieprzyjacielskich.

Drobiazgowa statystyka małżeństw amerykańskich we Francji podczas wojny wykazała, że na tysiąc małżonków — 990 należało do abstynentów tytoniowych.

Tylko w dziesięciu wypadkach na tysiąc — wdzięki figlarnej Madelon zwyciężyły odporność palaczy papierosów opiumowanych.

Wojna, obliczona na długie jeszcze lata skończyła się przedwcześnie. Intendencja amerykańska była zmuszona sprzedać olbrzymią ilość papierosów opiumowanych przez licytację publiczną. Postawiła wszakże kupującym, w dobrze zrozumianym interesie państwa, warunek — wywiezienia papierosów poza granice Stanów. Papierosy nabyli spekulanci niemieccy i rzucili je w celach zemsty politycznej na rynki polskie.

Jakoż urząd statystyczny b. kongresówki wykazał za rok ubiegły znaczny spadek odsetka zawartych małżeństw, a co za tem idzie — urodzeń w niedalekiej przyszłości.

Jedynie nasi obywatele neutralni poznali się na szatańskim podstępie i palą, zgodnie zresztą z tradycją, papierosy „szwarcowane“ z Ukrainy.

Właściwie do państwowego monopolu tytoniowego, ministerstwa zdrowia, wreszcie pracy społecznej należało ostrzedz ogół obywateli przed niebezpieczeństwem. Ale i tu otwiera się wdzięczne pole dla inicjatywy prywatnej.

Biję na alarm w naszym światku, bo wiadomo powszechnie jakim powodzeniem cieszyli się u płci niewieściej synowie Melpomeny. Mówię: cieszyli, bo w ostatnich czasach zdystansowali ich synowie Marsa! Za mundurem — panny sznurem! Nie wątpię jednak, że gdy pierwszy

impent minie, odzyskamy chwilowo utraczone stanowisko. Niech chwila ta nie zasta- nie nas nieprzygotowanych. A zatem—ba- czność! Precz z papierosami opiumowanemi. O, rozkosznie podniecający, wonny dymie papierosa. I ty posłużyć możesz za narzędzie zemsty!

ANTONI SŁONIMSKI.

„Adamita w teatrze”

*O grozo tajemnicza, niezbadany cudzie!
Byłem w sali, gdzie jasno świeciło się nocą;
Jedną ścianę podnieśli niezbadaną mocą,
A za nią stali ludzie, żywi, jak ja ludzie!
Mówili coś zbyt głośno, lecz nie byli sami,
Z dołu coś cienie od nich to samo mówiło,
Gwizdało coś bez słowa, to znów się ściszyło,
Gdy oni przestawali poruszać nogami.
Piękny tam był mężczyzna; kobiecie powiedział
Głośno strasznie, że chciałby ją posiadać,
A ona, Bóstwo! — tańczyła zamiast odpowiadać
I on wszystko zrozumiał, choć jam nic nie wiedział.
Wtedy zaczęli śpiewać, biorąc się w objęcia,
Podskakiwali dziwnie płynnie i faliście,
Poczułem wielkość straszną i drżałem, jak liście
I zginałem kolana już do ukłęknięcia —
Gdy nagle się ściszyło i znów błysły światła,
Czarna ściana zapadła, zniknął On i Ona
I wrzawa się zrobiła nieznośna, szalona;
Ludzie z twarzą ponurą, klaskali jak dziatwa.*

„Fra — Zoile.“

Pepełniłem sztukę.

Taki sobie bardzo dramatyczny dramat p. t. „Ostatni z inteligentów“. — Smutne dzieje inteligentnej jednostki, która ocalała, ostała się wszystkim „ograniczeniom“ i „zarządzeniom wyjątkowym“. W proroczym natchnieniu odmalowałem nieubłagane zbliżające się czasy, kiedy dzieło pogńębienia inteligencji przez „nadzwyczajne“ w tym kierunku uzdolnione czynniki stało się już faktem dokonany.

Bohater mój, nałogowy artysta dramatyczny, a mimo to człowiek niezłomnego hartu ducha potrafił uchować się i żyć w warunkach zgoła nieprawdopodobnych. Pomny świętego oburzenia „Kurjerków“ w czasie strajku aktorskiego w Poznaniu, odtąd nigdy nie strajkował ani nie żądał podwyżki. „Wedle stawu grobla“ powiedział sobie i na wzrastającą do rozmiarów horrendalnych drożyznę stosował cudowny środek — ściągał swój budżet. Zadawał się dwoma gramami artykułów spożywczych, które wspinałomyślnie ofiarowywał mu młody pomocnik maszynisty, właściciel 2-ch kamienic w śródmieściu i murowanej willi w Skolimowie, inteligencja bowiem w owych czasach była już pozbawiona t. zw. „przydziału“. Bez światła obywatel się już doskonale, wody nie używał prawie wcale, mieszkał poniekąd z komiortem w wolnej od rek wizycji, bo nieczynnej łazience.

Kiedy po skończonym przedstawieniu (o 1-szej popołudniu) wracał do domu, kontrolujący przepustkę policjanci, wzruszeni jego mizernym wyglądem i jeszcze mizerniejszym mianem aktora, obdarzyli go papierosami z własnego deputatu.

Ofiarność była zawsze cnotą syreniego grodu, to też od czasu do czasu mój bohater najadał się do syta z litości zapraszany na obiady przez kolegów i koleżanki. Był bowiem jedynym aktorem zawodowym w Warszawie. Koledzy byli to przeważnie synowie paskarzy, znudzeni grą w baka i traktujący teatr sportowo; było między nimi kilku posłów włościańskich, którzy na scenie wyrabiali sobie elokwencję. Aktorki rekrutowały się wyłącznie z prywatnych sekretarek dygnitarzy.

W tych to warunkach hartował się i męźniał charakter mego bohatera. Los opiekował się nim jednak, jak gdyby dla zachowania gatunku, na „zarybek“ mającej kiedyś odrodzić się inteligencji. Więc nie tylko żył — potrafił nawet zakochać się... w córce dozorca domowego.

Dozorca domowy — pan całą gębą, uprzy-

E. Głowacki.



STEFANJA GÓRSKA.

(Członek Z. G. ZASP.).

wilejowany i przysięgły proletariusz nie zgadza się na mezaljans swej córki Wikty z chudopacholkiem, hrabią Bryndza-Brakłło, który wzgardził paskarstwem i przywilejami proletariatu dla nędznego zawodu aktorskiego.

— „Inteligent, psia jego nędza!“ określił niefortunnego konkurenta papa-dozorca

i... zamknął mu przed nosem drzwi sześciopokojowej „dyzurki“. W ostatnim akcie legł zwalczony przeciwnościami losu niezłomny bohater. Następuje kompromis.

Ostatni z inteligentów publicznie wyzreka się przynależności do zniechęconej kasty, zostaje nocnym zastępcą papy-dozorcy z pensją 30.000 marek miesięcznie i t.p. i... Numa (Wikta) wychodzi za Pompiliusza (hr. Bryndza-Brakłło).

Nadszedł nareszcie upragniony dzień premiery. Płód mojego ducha miał ujrzeć światło kinketów w jednym z nowych teatrów żelbetowo-azbestowej konstrukcji. Albowiem w okresie kwalifikowania mojej sztuki (5 lat.) zdołały już spłonąć konsekwentnie wszystkie gmachy teatralne.

Zgodnie z „nadzwyczajnym dekretem, w celu oszczędzenia światła, i ze względów „polityki zewnętrznej“*) przedstawienie rozpoczynało się o godzinie 9¹/₂ rano. 800 kontrolerów w asystencji 400 nadkontrolerów i oddziału policji komunalnej sprawdzało bilety, szukając nadużyć z podatkiem magistrackim. Wynosił on już 396⁸/₄% od widowisk normalnych, zaś 569¹/₂% od koncertów na cele dobroczynne.

Przedstawienie premierowe rozpoczęło się dość punktualnie mimo, iż tego dnia przypadał według kalendarza kolejny strajk derożkarzy, tramwajarzy i dozorców domowych. Publiczność zajeżdżała pod teatr przeważnie łódkami, albowiem poziom błota na ulicach miasta wynosił według biuletynu urzędowego ministerjum komunikacji stóp 3, cali 4. Robaczki świętojańskie, (wolne od sekwestru) umieszczone w szklanych kulach pod plafonem nastrojowo oświetlały salę.

Nie będę opisywał uczuć, które mną miotają. Prócz zwykłej tremy autorskiej przejmował mnie lęk o jutrzejsze recenzje. W każdym innym mieście recenzja jest albo penegirykiem, albo atakiem żółciowych kamieni krytyka, w Warszawie jest pojedynkiem amerykańskim między recenzentem, a autorem. Autor premiery wyciąga z recenzji czerwoną, lub czarną gałkę. Wyciągnąwszy czerwoną — przyszywa ją sobie do kapelusza i jest już mandarynem rodzimej literatury, czarna gałka — to wyrok śmierci i autor musi popełnić samobójstwo. Przywilejem krytyków w takim pojedynku jest fakt, że bez względu na kolor gałki,

jaka przypadnie przeciwnikowi, oni zostają przy życiu i przy honorarjum od wiersza.

Przez otwór w kurtynie (wolnej od sekwestru) rzuciłem jeszcze jedno spojrzenie na areopag zoilów, którzy mieli mnie nazajutrz podnieść do godności mandaryna, lub... uśmiercić. Było ich wielu, zbyt wielu (trzy pierwsze rzędy krzesel i ośm łóż). Każdy z nich miał mniej lub więcej krwiożerce błyski w oczach, zaś ręce w kieszeniach. W rozgorączkowanej wyobraźni widziałem, jak pod połami surdutów ściskali śmiercionośne narzędzia (karabiny maszynowe na artystów, ręczne granaty na mnie).

Najmłodszy ze srogich katów, z miną spalonego byczka, uzbrojony był w laskę z olowianą gałką i rękawice bokserskie; później okazało się, że to jego własne, pulchne ręce. Wogóle najmłodszy zoil był najmniej szkodliwym okazem swego gatunku. Z racji nazwiska musiał biedak — *rad nie rad* — pisać recenzje i *mimochodem* popęłniać feljetony. Poza to, pragnąc ulżyć sędziowemu papie w trudach dźwignia niezliczonych tytułów, był prezesem związku sług katolickich im. św. X. Upoważniały go zresztą do tego zasługi i podboje w odpowiedniej sferze. Jedyny swój płód literacki (farsa satyryczna) zatytułował: „qui pro quo“. Istotnie było to wielkie nieporozumienie literackie.

Obok „byczka“ ujrzałem drugiego młodego zoila — myśl jego zdawała się bujać szlakami Apeninów, jednak z pracowitością właściwą jego nacji (mniejszość) co chwila chował rasowo wyblakłą twarzyczkę „betamidraszowego“ bachora między kartki podręczników, których stos trzymał na kolanach. Tym sposobem wypełniał poważne luki w elementarnym wykształceniu. Z drugiego rzędu krzesel srebrzyła się przed wczesną siwizną główka homunculusa, który podobno kiedyś był poetą, a skończył na roli sprawozdawcy teatralnego drugiej klasy (teatryki, kabarety i kinematografy). Niemiłosierny ołówek redaktora redukował jego recenzje do rozmiarów 8—10 wierszy. („Redakcja jest redukcją“—jak słusznie powiada Norwid). To też owe recenzje przypominały życwem rozmówki z Ollendorfa. Ideałem tego chorego maniaka był kabaret „Piramida“ na Marszałkowskiej: stawał on go na drugim miejscu po Reinhardzie.

Kolega redakcyjny „homunculusa“ re-

*) autentyczne.

cenzent 1-szej klasy (dramat i farsa) polyskiwał wesoło nieopierzona czaszka.

Wiek jego chwiał się od wielu lat między 15-tym a 45-tym rokiem życia. Był to prawdziwy kochanek losu. Sama pani redak-

E. Głowaci.



MIECZYŚLAW SZPAKIEWICZ.

(Członek Z. G. ZASP.).

torowa twierdziła, że przeczytanie recenzji jego, bodaj najbardziej grubiańskiej, jest prawdziwą uczcą Baltazara. Wogóle był to

osobnik ze wszech miar miły i gładki (zwłaszcza na głowie). Bez buntu i z mocą kamienną znosił katar żołądka i szykany cenzury. Był poczwórnym abstynentem, a przecież styl jego musował i perlił się, jak szampan, i skutkował, jak szampan (oczywiście mowa o niemieckim szampanie „Feldgrau“). Dla przykładu — wyjątek z jego recenzji:

„Kompromis jest kompromitacja, kompromitacja grzechem, grzech bywa piękny, piękno jest życiem, życie jest pięknem i choreografią, choreografia jest ciotką wszystkich sztuk, sztuka jest ciotką wszystkich gwiazd, wobec tego — niech żyje Kazimierz Kamiński, Guliwer między liliputami, oleodruk między drzeworytami, najgłębszy wyraziciel kunsztu scenicznego... A przecież — Frenkiel jest głębszy.

fr.“

„p. s. Pani Brydzińskiej wyrasta ogon, niedługo z gwiazdy stanie się kometa,
fr.“

Obok „Baltazara“, krępy kadmubkiem wciśnięty w fotel, drzemał snem zawsze „sprawiedliwego“ najłagodniejszy z krytycznych augurów, człowiek dobrej woli i prawie takiej samej tuszy. Inicjały jego w Niemczech oznaczałyby, że jest już „Ausser Dienst“ — u nas wykładają się inaczej, a mianowicie: „Aby dogodzić“. Tuż za śpiącym augurem przyczał się znany z awantur arabskich czarnooki i czarnowąsy dawniejszy kapryśnik, później więzień stanu, a ostatnio niefortunny konkurent Or-Ota w mowach okolicznościowo-uroczystościowych.

Trzeci dzwonek na rozpoczęcie przerwał brutalnie moje obserwacje nad zoilami.

Zdołałem tylko zawołać, nie wiem czemu, po niemiecku: „O, Gott, wie gross ist Dein“...

i obudziłem się.

Z. TELATYCKI.

„Jakże podle jest, przepodle..“

Jakże podle jest, przepodle,
w teatralnym naszym godle
ciągłych mamień, dzięki modle
wciąż w nadziei siedzieć siodle!

Heca, heca, heca, heca...
Człek odrywa się od pieca,
sławy mami go prozektor,
marką miga mu dyrektor...

„L'argent daj dydaskalosie“.¹⁾
„Róbmy kontrakt, cny mimosie“.²⁾
„Róbmy kontrakt, by w chaosie
Nie dostać co po Noos'ie“.³⁾

Związek się z kontraktu pawi...
Dydaskalos też się bawi,
Mimos wzrok zapuszcza szparki,
Skąd mu błysnie różek marki.

Wreszcie dostał marek parę,
Mądrych uwag całą miarę...
Zabrał w kontrakt świętą wiarę
Smutny mimos, dziecko stare...

Heca, heca, heca, heca...
W przestrzeń rzucił się od pieca
Dydaskal go w ręce bierze
Oskubuje z niego pierze!

„Kontrakt wszak dydaskalosie?!“
Gwiżdżę w kontrakt, cny mimosie.
W rachunkowym mym chaosie
musisz dostać po Noos'ie“.

„Chciałbym obiad“... „Niewdzięczniku!
Rzemieślniku, wyrobniku!
Wszak ci dałem Sztuki grzędę—
Właż — ja marki zbierać będę“!

Jeszcze się nie skończył sezon,
A już się zamyka maison,
Koniec, koniec już z imprezą,
Mimos w garści ściska raison...

„Gaża ma, dydaskalosie!
wszak mam kontrakt“?!
„Cny Mimosie,
idź do djabła, byś w chaosie
nie oberwał co po nosie!“

Mimos chadza głodny, blady...
Takby zjadł coś... niema rady,
trza się obejść!...

Jakoś będzie —
z nadzieją się żyje wszędzie!

¹⁾ Dydaskalos — właśc. reżyser, lub dyrektor w jednej osobie: przedsiębiorca, reżyser i kasa.

²⁾ Mimos — aktor.

³⁾ Noos — rozum.

JULJAN TUWIM.

*

*

*

*Ach, jaka Pani jest elegancka!
Ach, jaka Pani jest erotyczna!
A w rozchyleniu warg — jakże szarmancka!
Ten bucik — oh, la la! Ta arogancka
Poza nerwowych nóg jest arcyśliczna!
Ach, jaka Pani jest elegancka!*

*Ach, jaka Pani jest erotyczna!
Coś niby Ropse, Greuze... Jakby flamandzka
Robota twarzy, gest — donna mistyczna!
Ten szampan... A ten wzrok. Zbyt chaotyczna
Jest pani, Lilionel, i zbyt... birbancka!
Ach, jaka Pani jest elegancka!*

ANDRZEJ WŁAST.

Aktorka.

*Spojrzała w lustro taflę połyskliwą
I uczerniła swych oczu oprawę,
Jej usta, usta purpurowo-krwawe
Snuć jęły szeptów miłosnych przedziwo:
„ Dla ciebie rzucę i Teatr i sławę... ”
Wstrząsnęła włosów utrefionych grzywą,
A potem negliż rozchyliła żywo,
Żem dostrzegł ciała żyłki niebieskawe...
Przymknąłem oczy... Jej paznogi ciernie
Poczułem nagle na skroni płonącej...
Na ustach, usta złożyła bezszmerne,
A potem znikła... Spojrzałem niechcący
W lustro... Na ustach, na mej twarzy bladej
Zostały szminki karminowe ślady — — —*

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI.

Zdobywcy.

I.

ALEKSANDER

*Szaleje młode słońce. Ziemia się wypręża
Strojna w biele marmurów i w szmaragdy hal,
W tonie morskich lazurów, w gór podniebną stał;
Czeka na mnie jak dziewa na kochanka — męża.*

Spadam na świat jak burza: jazgotem oręza
Przenikam wskroś Helladę, mierzę w Wschodu dal,
Z stopą na karku Persji piję z Indu fal
I wracam jak cios, który nie bijąc zwycięża.

Otom cię rzucił, świecie, pod mych rządów ruje.
Kresem mych żądz—bezkresy, kresem ziem—pustynie,
Europę z Azją sprzęgam w potwornej miłości.

Depcząc dźwigam i kocham, szalejąc panuję,
Aż nareszcie jak piorun, co z wybuchu ginie,
Ja — syn Zeusa Ammona zamieram z miłości.

* * *

II.

ATYLLA

Tam trawie nie porosnąć, gdzie mój koń przeleci,
Tam życiu się nie rodzić, gdzie świśnie mój bat,
W obłądnym bólu tam zatonie jestestw ślad
I spylą się w perzynach pomniki stuleci.

Z chaosum Azji wstał, wśród dzikich hord zamieci
W pożogi łunach prę, ja krwawej miazgi wład,
Pustynia tronem mym, bom—mór, bom—śmierć, bom—
[kat.
Wściekłości ślepej mej nienawiść w drodze świeci.

Gniewem mym — zabić słońce, co pierzcha przede-
[mną.
Gniewem mym — Romę znieść, że ma nad światem
[straż.

Dopadłem. Wzniosłem bat i potop czerni, aż

Stanął człowiek i drogę mi zagroził Bogiem.
I było — przed Nieznanym, że nieznaną trwogę-m
Uczuł i wraz z nią padł nawrotem w nicość ciemną.

NAPOLEON

Latami pracowała na mnie gilotyna
Latami w krocjach armji gęsty stał się trup
Aż napiętrzył wyniosły pomost dla mych stóp,
Bym ja dosięgnął bytu, co się przez nich wszczyna.

Wszedłem i siłą woli co niezłomne zgiana
Chwyciłem za scepter świata, a złamawszy ślub
Ja zdrajca praw człowieka po przez śmierć i grób
W władztwu zachłannej żądzy cbciałem trwać przez
[syna.

Wybacz mi, królu rzymski! Moja wina, dziecię,
Że przez ciebie odrodzić chciał się znów na świecie
Niepomny, że istnieje kres sile człowieczej.

Patrz, o tom dziś w niemocy której nic nie zleczy.
Jako zbyteczny aktor odrzucon ze sceny
Starczo więdnę w pogardzie skał świętej Heleny.

OSTATNI

Słońce kona. Pokryte rany straszliwemi
Ledwie sączy ponikiem stęchłą światła krew.
Pod tą grobową lampą w nicość mroźnych stref
Jak grobowy sarkofag suniesz globie ziemi.

Darzyłeś mnie czem mogłeś, siłami wszystkiemi
Od przepaści den morskich do poszumu drzew
I oto zmarłeś globie, gdym tam—życia wiew
Miljonem słońc wybucha, milion światów plemi.

Żegnaj mi więc kochany. Zostawiam ci zgon.
Po wibrach kultur — bezwład. Po Słowie—milczenie.
Żegnaj mi ze swym losem obumarłej klęski!

Gdy ja zasię, twój geniusz, wieczysty jak On
Poprzez śmierć, pod słońc nowych płomiennie promienie
W nowe życie, w byt nowy przechodzę, zwycięski

„Heca i hecarze“

Zbiegowisko—gromadka przechodniów gestykuje i rozprawia z ożywieniem: wypadek—akcja, dramat—coś się dzieje. „Stało się“, jak się powiada w gwarze wielkomiastej; dookoła słychać pytanki: „stało się?“ „coś się stało?“ „coś się stało, proszę pana?“ Wypadek,—dramat. Akcja, działanie, ruch—istota dramatu. Wycieńczony głodem biedak padł pod ścianą domu bogacza; nieborak jakiś, dostał napadu „wielkiej choroby“; samochód przejechał roznosiela



JAN KOCHANOWICZ.
(członek Z. G. ZASP.).

gazet, lub komuś wyciągnięto z kieszeni woreczek z gotowizną. Dzieje się dramat i chciwi wzruszeń ludziska wchłaniają sensację. Karmią się wypadkiem, współczują, emocjonują się, płaczą, krzyczą i za chwilę, wyładowawszy energję czucia i odczucia, wracają normalnie do swoich celów, idą

każdy swoją drogą. „Stało się“ potrafi zatrzymać i przykuć do siebie na ulicy nie tylko demokrację i proletarjat uliczny, ale nawet wytworne damy i nobliwych panów z wyższego towarzystwa; często nawet ludzie na krew człowieczą bardzo wrażliwi, siłą nieprzepartą pchani, zatrzymują się i oglądają miejsce wypadku i osobę delikwenta kosztem ataku nerwowego, migreny, albo nawet braku apetytu. Sensacja, pragnienie wzruszeń, wstrząsu psychicznego—jest żywiołową potrzebą normalnego funkcjonowania aparatu jaźni człowieczej, z tym jednak wyraźnym i nieodzownym atrybutem, żeby to „stało się“ dotknęło naszego bliźniego, a nie nas samych; bo to i wygodniej i przyjemniej nieporównanie.

Ta właśnie potrzeba, powiedziałbym fizjologiczna niemal, przeżywania wzruszeń, kosztem bliźnich naszych — ten głód wrażeń, ten mus, który każe nam cierpieć, żałować, emocjonować się cudzą dołą jest genezą i kluczem otwierającym i wyjaśniającym pęd publiczności do widowisk teatralnych. Te tłumy wystających w ogonkach przed kasami kinematografów i teatrów, te masy drobnoustrojów płacące niemal ostatni grosz za bilet wstępu na sensacyjne widowisko, te rzesze głodnych wrażeń obywateli, pędzących na złamanie karku, aby płakać, śmiać, czy oburzać się—mimo, że własny ich żywot dostarcza im aż nadmiaru może wzruszeń i wstrząsów psychicznych—to ofiary musu, nakazu wewnętrznego—tej żywiołowej siły, która „każe“ im żyć i przeżywać więcej i szerzej, niż ramy własnego ubogiego ich żywota na to by pozwoliły.

Ale zarówno wzruszeni do łez świadkowie wypadku samochodowego, jak i słuchacze wstrząsającej nerwami tragedji, czy wzruszającego melodramatu kinematograficznego w każdej chwili mogą dobrowolnie przerwać swą ucztę i odejść od pełnego stołu w domowe zacisze — mogą, przestać dręczyć się cudzą udręką, mówiąc z radośnym westchnieniem ulgi: „jak to dobrze, że ten dramat nie mnie osobiście dotknął; jak to dobrze, że nie nas właśnie spotkało to, co się stało udziałem bliźnich naszych“. Wzruszony obywatel momentalnie wraca

do pełnej równowagi duchowej, rad, że jego osobista jaźń może zażywać niezakłóconej pogody i wywczasów całkowitego kwietyzmu. Stan jego ducha da się upodobnić do stanu jegomości, który, budząc się z ciężkiego snu, raduje się, że to sen tylko, odbiegający daleko od jawy; że po emocji dane mu jest zażywać pełnej radości i spokoju.

Twórca aktor grający i przeżywający emocje swojej roli bez względu na to, czy to będzie rozpacz, czy bachiczna kaskada radości—wchodzi w nią cały i to nie tylko na same momenty trwania widowiska, ale i na całe tygodnie wstępnej pracy przygotowawczej w czasie prób, a niejednokrotnie i na długo, długo po zejściu sztuki z afisza; tworzy dookoła siebie, równoległe do własnej linii życia—nową, warunkową, a jednak osobistą płaszczyznę życia i staje na niej, biorąc na swe barki cały ogrom przeżyć przez autora wskazanych; jest niejako nie tym widzem, obserwującym wypadek samochodowy, czy atak epilepsji, ale sam „własnoręcznie” wpada pod tramwaj i do staje ataku wielkiej choroby. Kosztem całego siebie, a nie nerwów tylko, okupuje jedyny moment tryumfu i upojenia — moment, kiedy wysiłkiem własnej duszy porusza nerwy, a niekiedy i dusze widzów. Twórca aktor jest ofiarnikiem—widz uliczny, czy teatralny jest konsumentem tylko duchowej produkcji pierwszego.

A jakże często sfera i linja prywatnego życia aktora odbiega od łuku, jaki przez niego „twórczo odtwarzanej” postaci za-

kreśla autor; iłoż to razy trzeba całego i to nie byle jakiego wysiłku męskiej woli, żeby wyjść ze swojej skóry i wcielić się w skórę indywidualności odtwarzanej roli. Widzowie nie liczą się z tą tytaniczną pracą zmagania się ze samym sobą i powolnego wypierania siebie, zastępując to wyparte „ja” czemś obcem i często wręcz nam nieznośnym, co stanowi wykładnik psychologii granej roli.

Żeby dobrze zagrać, trzeba naprawdę na własnej skórze przeżyć wszystko to, co się dzieje z osobą przez aktora odtwarzaną—trzeba przestać być sobą, a stać się tym kimś. Trzeba dokładnie, drobiazgowo znać swoje *ja* i to drugie, obce i narzucone nam przez autora — i zwolna, mozolnie, krok za krokiem, cegiełka po cegiełce wyjmować to coś swojego, przyrodzonego, własnego i na to miejsce dopasowywać, przykładać i wcielać cząsteczki obcego nam organizmu, żywać się z tem cudzem ciałem, aż wreszcie zespolić się całkowicie z nową formą i przestać być sobą, a stać się kim innym.

Ta duchowa przemiana, to przetwarzanie samego siebie od wnętrza na zewnątrz — ta gimnastyka duszy — ten trud ciągłego przeistaczania się, tajemnica cudu w twórczej pracy aktora,—jest najwyższym szczyblem, na który wznosić się może talent tylko, a do którego nie sięga ani wygodny kabotyzm, ani wygodniejszy jeszcze egoizm widza.

Tu heca staje się sztuką,
a hecarz — rzetelnym artystą.

STEFAN ŻEROMSKI.

Ponad śnieg.

(z końcowej sceny aktu III).

RUDOMSKA.

Pogardzam waszemi hasłami i władzy waszej nie uznaję.

OFICER (do Wincentego)

Oto prawdziwy wyraz waszych haseł i zasad.



RUDOMSKA.

Jestem kontrrewolucjonistka i buntownica, ale tylko ja jedna w tym domu. To. wasi współwyznawcy—ten młody człowiek i ta dziewczica.

OFICER.

Dzielną damo. Pierwszy raz zdarza mi się słyszeć głos tak prawdziwy. Zawsze się wypierają zasad burżuazyjnych, a ty je głosisz.

RUDOMSKA.

Będę zawsze przeciwko waszemu wojsku spiskowała i zwalczała wasze plugawe panowanie.

OFICER.

Tylko w myśli i niezbyt długo.

RUDOMSKA.

Precz z mego domu. Nie waż się do mnie podchodzić blisko, bo ci w łeb strzelę, jak psu, i każdemu z twoich zbirów.

WINCENTY (do oficera).

Widzisz sam, że to kobieta szalona. Nie walczysz chyba z ludźmi obłąkanymi.

RUDOMSKA.

O, dziecko! Nigdy nie byłam trzeźwiejsza niż dziś. Ja teraz trzeźwo rachuję, mój mały Wiko, mój synku. Za ciebie i za siebie teraz rachuję: Patrzę w swe życie, w twe życie od końca do końca i widzę, że powiedziałam szczerą prawdę.

WINCENTY.

Matko, matko...

RUDOMSKA (sekretnie).

Nie mogę ci być dłużną, mój mały, nie mogę. W sercu mi się coś zepsuło, gdym cię zobaczyła bez ręki i bez nogi. Już nie mogę. Niech ta ślepa siła, jakkolwiek się nazywa, wojna czy rewolucja, odgryzie mi ręce i nogi, wzrok odejmie i słuch, jeśli moje przekleństwo spełniła. Nie mogę ci być dłużną, mój mały Wiko, nie mogę. Już mi się chce spać na moich rodzinnych śmieciach, w mojej ojcowskiej ziemi.

(do oficera) Precz stąd z mojego domu, z przed pańskiego oblicza.

OFICER.

(oficer śmieje się) Oszalała babina.

RUDOMSKA.

To czyń swoje, kanaljo.

OFICER

(ponuro) Nasza wzniosła i niezwyknięta w swej prawdzie rewolucja nie walczy z szalonymi. Ona walczy tylko ze zdrową na umyśle siłą.

RUDOMSKA.

Wy, którzy synom każećcie sypać doły mogilne dla matek, a matkom podpisywać wyroki śmierci na synów, wy, którzy lubujecie się w męczeństwie bezbrónnych, którzy zgładzacie dzieci i torturujecie kobiety! Chamie! Zniważam cię! W tobie znieważam waszą woj-skową tyranję.

OFICER.

Aresztuję wszystkich za posiadanie broni.

WINCENTY.

Nie waz się tykać nikogo z nas.

OFICER.

Mam dowód, że jesteście buntownikami.

WINCENTY.

Jesteśmy polscy obywatele.

OFICER.

Nie znam obywateli polskich na obszarze rzeczypospolitej proletarjackiej.

WINCENTY.

Wsluchaj się dobrze. Za borami, za lasami usłyszysz gwar. To Polska z mogiły wstała. To ona i wielki wzniosły wasz wróg — święty Jerzy, który wewnętrzną świętością, cnotą i potęgą porazi w was smoka wiekuistego waszej moskiewskiej tyranji. Trwóćcie się, barbarzyńcy! W naszych osobach znieważacie wielki naród.

OFICER.

Nie rozumiem wcale tego, co mówisz, przechwalający się lachem. W każdej minucie zniszczyć was mogę. Ale zanim zginiecie, winniście wiedzieć, że giniecie słusznie.

(do Wincentego)

Ty śmiesz podnosić zuchwałę słowo przeciwko temu błogosławionemu przewrotowi, który jarzmo tysięcy lat obalił na ziemi.

WINCENTY.

Stare jarzmo skruszyliście, a nałożyliście na ludzi tysiąc kroć gorsze i cięższe. Polska jedyna na ostrzu swej włóczni niesie wolność i błogosławiony przewrót na dobro ludowi i ludziom uciemężonym.

(Oficer daje znak żołnierzom, ci zmiierzają do Wincentego, żeby go pochwycić).

Syndykat Rolniczy Warszawski

ZWIĄZEK ZIEMIEN

Warszawa, Kopernika 30.

65 oddziałów w kraju.

Oddział Naukowy.

Przyjmuje wkłady na oprocentowania. Załatwia wszelkie zlecenia i interesy bankowe.

Dział pośrednictwa w kupnie i sprzedaży
majątków.

Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia od Ognia „S N O P“

Warszawa, ul. Traugutta 3 (dom własny)

Ubezpiecza wszelkiego rodzaju budowle i ruchomości: wiejskie, miejskie i przemysłowe, na zasadzie spółdzielczości, zapewniającej członkom Towarzystwa zwrot zysków.

W roku 1918/19

Kapitały zapasowe i rezerwy Towarzystwa wynosiły
Zbiór roczny składek

Mk. 4506127

„ 4221485

Ajentyry:

w biurze Towarzystwa oraz w większych i mniejszych miastach Państwa Polskiego.

Reprezentacje:

w Warszawie, W. St. Mitraszewski Bracka 23,

w Łodzi, W. A. Heppen Sienkiewicza 31.

w Lublinie, W. A. Herlen Krak.-Przedm. 56.

w Poznaniu, W. W. Zabłocki Marcinkowskiego 1.

Tow. Akc. Handl.-Przem. „Ł. J. BORKOWSKI“

adres telegraficzny: „E L I B O R“ Biura i sklep: **Warszawa, Mazowiecka 11.**

Cement, belki żelazne, blacha żelazna i ocynkowana, żelazo, wyroby żelazne, artykuły techniczne, maszyny i narzędzia, oleje i smary.

Specjalny dział elektro-techniczny.



Gestaon Zwierzyniec

WARSZAWA
Czysta 2

Suknie wizytowe i wieczorowe
Bielizna

Specjalność: Suknie i Kostjomy sceniczne:

<http://rcin.org.pl>

P. II - 562



PARUWA FABRYKA CYKORJI

Ferd. Bohm C^o

w Włocławku

Centralne biuro sprzedaży

Warszawa, Zielna № 35 m. 1.

Telefon 13-49.

G. RADKE

Wyroby srebrne

Warszawa, Wierzbowa 3.

Egz. od 1832 roku.

„Cafe Empire“

Krak.-Przedm. 7.

Zjadliwe zarazki na szczury i myszy

„M Ó R“

z Instytutu Bakterjol. D-ra Med. Serkowskiego

Skład główny: Skład apt. St. Staniszewskiego w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście № 31.

P. II - 562

1920

RESTAURACJA

„ASTORIA“

Nowy Świat 64, tel. 47-70.

Orkiestra podczas obiadu i kolacji.

RESTAURACJA

Hotelu Brühlowskiego

Fredry 12.

Hotel Saski

RESTAURACJA

„Zrzeszonych“

wydaje obfite obiady i kolacje
Wieczorem koncert Mittmana.

Likiery oryginalne. Wina przedwojenne.

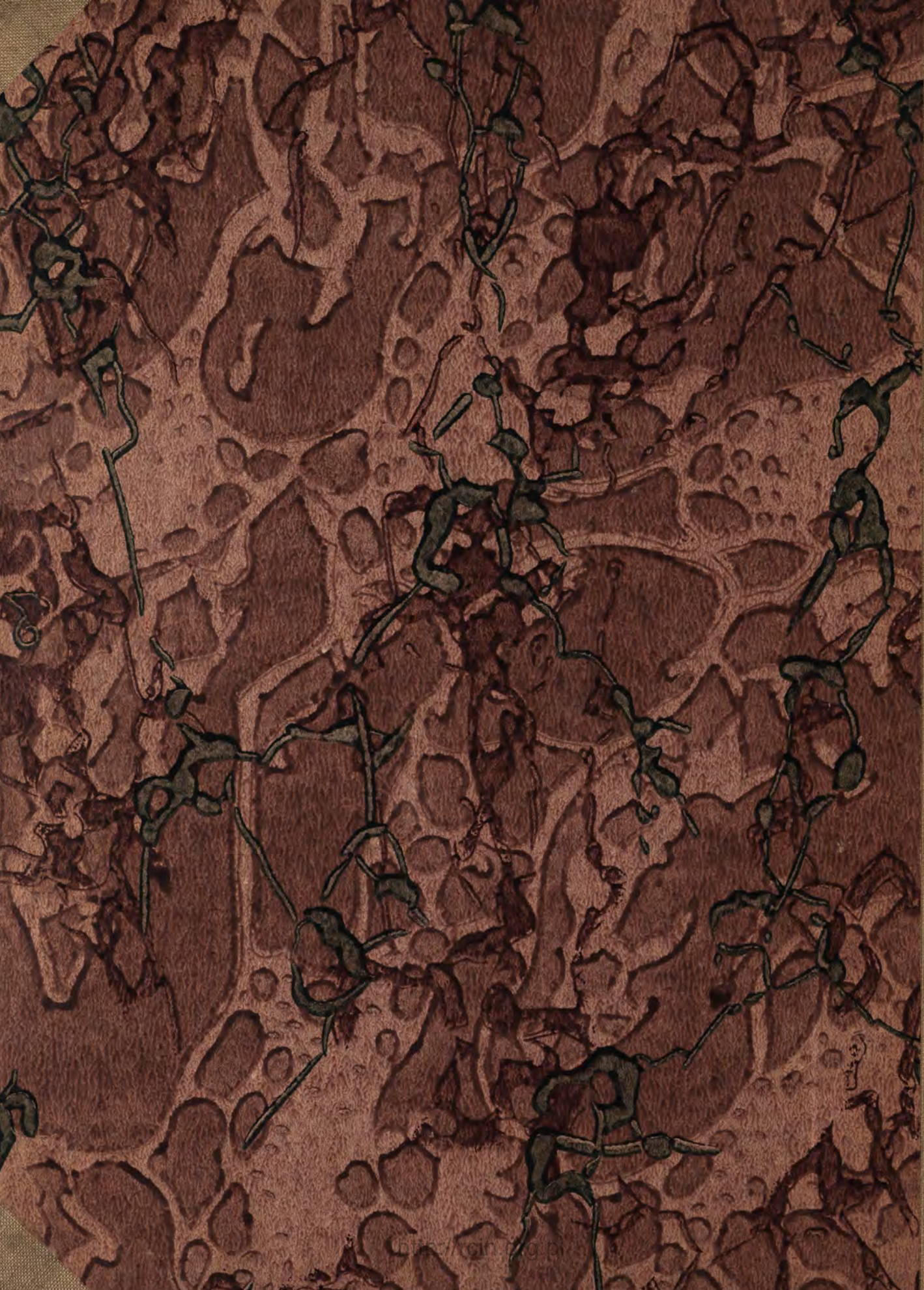
Wędliny własnego wyrobu.

Bufet obfity.

Druk R. Szrajbera Tamka 41



1362
1360



قوس